

Dzień 3/3 – Trawers



Zabójcze filety 2



Zupa śniegowa mniam



Na lodowcu przed wschodem słońca



A do auta to jakoś tamtędy



Pogoda nie sprzyja



Nasza zimowa ekipa



No to jeszcze znaleźć depozyt i w drogę, przed siebie



Na jeziorkach



Dajesz Asiu, jeszcze tylko 15 km



Powrót w śnieżycy

Trawers

Wszelkie nocne akcje powodują u mnie odczucie, jakby to było we śnie. Klasycznym dla mnie przykładem była nocna eksploracja Jaskini Czarnej w Tatrach. Do dziś wspominam to jako coś, co równie dobrze mogło mi się przyśnić. I ta przygoda przeczy temu, jakoby mogło chodzić jedynie o brak światła, bo w jaskini jest zawsze tak samo ciemno. Ewidentnie musi tu chodzić o stan umysłu w godzinach nocnych. Na pewno organizm inaczej działa między 0:00 a 4 rano niż w środku dnia.

I tym razem nocny trawers wspominam, jak coś na pograniczu snu i jawy. Spod schronu wyruszyliśmy po godzinie drugiej a nasza droga niemal pokrywała się z letnią ścieżką. Tyle tylko, że teraz ukryta ona była pod głęboką warstwą śniegu. W świetle czołówki (i tu muszę się [przeprosić z siostrami Tikkiny](#)) ciężko było mi ocenić zmieniające przede mną nachylenie stoku. Jednak jako dodatkowa kontrola pomagał na tym etapie Asi telefon z aplikacją zawierającą trasy.

Ten trawers to był inny świat, który znacznie bardziej złowrogo prezentował się pod nami, niż nad nami. Ukształtowanie terenu nie dawało za wielu szans w przypadku potknięcia lub utraty równowagi. A warto napomknąć, że na tym etapie szliśmy z całym dobytkiem, czyli każdy miał na plecach ciężki plecak. Nie pomagała też temperatura, bo śnieg nie był tak zmrożony, na jaki liczyliśmy. O ile jeszcze ja i Asia nie zakopywaliśmy się prawie wcale, to Sławek wyciągając nogi z dołek musiał się okrutnie napocić, żeby za nami nadążyć. Po blisko 3 km dotarliśmy jednak bezpiecznie do zejścia na lodowiec.

Trawers pokonany i nikt nie poleciał, a jak już wspomniałem lot w większości miejsc zakończyłby się zsunięciem i upadkiem z urwiska na lodowiec, bo nachylenie było zbyt duże, by tak po prostu wyhamować czekaniem.

Przełęcz

Szczerwie kończymy trawers i schodzimy na lodowiec. Wiążemy się liną, podchodzimy do wysokości ok. 2800 m n.p.m. i zostawiamy depozyt w postaci dwóch plecaków. Punkt zapisujemy w GPS, na wypadek gdyby mocniej sypnęło śniegiem. Teraz naszym kolejnym celem jest przełęcz Venedigerscharte na wysokości ok. 3400 m. Asia coraz mocniej odczuwa dolegliwości żołądkowe, a to ją mocno osłabia. Pomimo tego w dobrym tempie, praktycznie bez odpoczynku przemy do góry.

Pogoda jest coraz gorsza, zaczyna sypać mokry śnieg. Zgodnie z prognozą nie mamy co dziś liczyć na poprawę pogody. Dlatego mamy umówiony limit czasowy, czyli porę, o której bez względu na wszystko trzeba ruszyć w drogę powrotną. Nie zamierzamy ryzykować utknięciem w górach, w których z godziny na godzinę wzrosnąć może zagrożenie lawinowe. Na tym wyjeździe zresztą z założenia miał być zawsze ustawiony zawór bezpieczeństwa. Jednak nasze koło ratunkowe zużyło się koło wysokości 3000 m n.p.m., kiedy to padł GPS w telefonie. Teraz idziemy momentami na ślepo zdając się tylko na ukształtowanie terenu, a to

ewidentnie wskazuje, że zbliżamy się do przełęczy. Powoli stok się kładzie a nas uderza w twarz huraganowy wiatr. Gdzieś za plecami słyszę zdławiony okrzyk Asi.

Nie mam pojęcia co krzyknęła, ale nie muszę dopytywać. Cokolwiek to nie było, znaczenie mogło mieć tylko jedno: „SPIER...LAAAC!”. Bez słowa odwracam się na pięcie i pędzę na dół. Wejście w tych warunkach na lodowcowe plateau na przełęczy oznaczałoby samobójstwo. Jeśli nie zgubilibyśmy się od razu i nie zamarзли, to wpadlibyśmy do szczeliny, albo polecieli z nawisem na grani, albo najbardziej prawdopodobne: wszystko na raz.

Narzucone tempo, majdająca się lina pod nogami i do tego wszystkiego dolegliwości męczące Asię – to już nie miało w sobie nic z przyjemności. Chciałem jednak jak najszybciej wrócić do plecaków, które mógł zasypać śnieg, a GPS był już do końca wycieczki bezużyteczny. Powiem szczerze, że gdybym był wtedy na miejscu Asi odwiązałbym się od liny i pewnie rozpłakał. A tymczasem ona bez słowa narzekania parła do przodu. Choć wiedziałem to już przed wyjazdem, to znów potwierdziło się, że mam do czynienia z najsilniejszą kobietą i partnerem na najtrudniejsze warunki. W zawierusze gubimy nasze ślady, jednak ukształtowanie terenu sprzyja nawigowaniu bez wsparcia urządzeń. W końcu wychodzimy z zadymki i w oddali widzimy na lodowcu nasze plecaki.

Marsz

Lodowcem schodzimy do zamrzniętych jezior, tym samym opuszczając teren wysokogórski. Przed nami 15 km marszu doliną z gospodą Postalm w 1/3 drogi. Tam spożyjemy zupełną regeneracyjną i kubek herbaty z cukrem, a to nas postawi na nogi. Zanim jednak tam dotrzemy z pobliskich urwisk przed nami obsypią się dwie lawiny lodowe. Stresuje mnie to mocno, gdyż lodowe bryły przelatując w poprzek szlaku nie dają żadnych szans. Widzę świeżo ułupane drzewo, które oberwało bryłką wielkości piłki lekarskiej. Niemal przebiegam odcinki usłane

takimi lawinkami, wymijając lodowe fragmenty o rozmiarach od pięści do pralki. Tymczasem Sławek drepta jakby nigdy nic i humor go nie opuszcza. Ależ mi się ekipa trafiła nie do zajechania!

Popołudniu docieramy do auta, przebieramy się i natychmiast ruszamy do Polski. Sławek prowadzi przez większość drogi tak, jakby przez ostatnie kilka dni wypoczywał.

Od pobudki w schronie do momentu, kiedy znów położymy się w łóżkach minie 27 godzin. Prawdziwy maraton. Ale... zgodnie z założeniami: wszystko było pod kontrolą, a szczyty były tylko dodatkiem.

tekst: **Dziku**

PS. Gdyby tego dnia dopisała pogoda, to nie mam najmniejszych wątpliwości, że zdobylibyśmy Grossvenedigera (3666 m). Byłaby to wisienka na torcie, którego udeptaliśmy naszymi stopami przechodząc po śniegu około 60 km w zaledwie 3 dni.



Nasza zimowa ekipa